

WALERY PRZYBOROWSKI.

CZERWONA MARA

Powieść z dnia wczorajszego.

21)

Byli i tacy, którzy domagali się, aby puszczono się w pogoń za uciekającą zwierzchnością, kilku nawet siadło na pociąg i ruszyło ku granicy, ale niebawem wrócili nic nie zdziaławszy, a natomiast przynieśli niewesołą wiadomość, że rząd znaczne siły ze wszystkich stron nagromadza, by rewolucyjno-socjalną republikę w X. za jednym zamachem zgnieść.

Wiadomość ta wywołała jeszcze większy popłoch. Pozostałe dotąd w Y. damy z obciętymi włosami, nazwane przez Antka „nihilistkami“ i głoszące wolną miłość, znikły nagle pewnego pięknego poranku. W X. zostali tylko żydzi, których republika nie a nic nie obchodziła i ci, którzy albo z braku funduszy, albo dla innych przyczyn uciekać nie mogli. Za to tak zwana „bojówka“, czyli siła zbrojna nowej republiki, złożona z ludzi młodych, wierzących w możliwość istnienia republiki socjalnej, postanowiła bronić jej całości do ostatniego tchnienia i przygotowywała się do walki śmiertelnej za swe ideały.

Wśród tego wszystkiego w Górach pędzono życie spokojne, ale smutne. Choroba Antka była groźna i niebezpieczna, rozwinęło się silne zapalenie mózgu, a przy nim majaczenie nieustanne. Trzeba go było ciągle pilnować, bo się zrywał, odpychał od siebie jakieś widma, płakał, zaklinał się, że nie on winien śmierci Jasińskiego. Niekiedy wyciągał ręce tak, jakby się niemi zaslaniał, zimny pot okrywał mu czoło, oczy przybierały wyraz strasznego przerażenia i głosem chrapliwym, z głębi piersi się dobywającym, krzyczał:

— Idzie! już idzie? czego chcesz odemnie? Krew mu z głowy tryska, blady, śmiertelnie blady... o! o! o! przebacz, przebacz mi, nie męcz mnie!

Trzeba go było ciągle pilnować, bo w takiej wizji wyskakiwać chciał z łóżka i biec gdzieś, uciekać przed widmem własnej chorej wyobraźni. Tu Anielka, zapominając o emancypacji kobiet, za którą niedawno chciała walczyć i życie nawet jej poświęcić, stała się dawną, dobrą, słodką kobietą, czuwającą pilnie i bacznie nad swym nieszczęśliwym narzeczoną. Po całych dniach i nocach siedziała przy jego łóżku, nie śpiąc, nie jedząc, nie chcąc o niczym innym myśleć, niczym innym się zajmować. Gdy jej opowiadano o wypadkach w X., o rozprężeniu, jakie panowało w nowej republice, słuchała tego obojętnie i odpowiadała:

— A! co mnie to wszystko obchodzi! dajcie mi pokój.

Parę dam z ostrzyżonymi włosami, onych „nihilistek“ w przydeptanych i zabłoconych trzewikach, uciekając z X. przybyło do Gór, aby zasięgnąć rady i pomocy od swej przewodniczki, za jaką uważały Anielkę. Uwiadomiona o tej wizji, nie chciała ich przyjąć i z gniewem, oburzeniem wołała:

— Nie chcę ich widzieć, nie chcę! Niech sobie idą na złamanie karku. Niech mi dadzą pokój, nie chcę o niczym wiedzieć.

Zbladła, schudła, zmizerniała i chodziła po pokoju chorego jak senna mara, na pół nieprzytomna, zasluchana w oddech Antka, zapatrzona w jego twarz bladą, znamię śmierci naznaczoną. Sama mu podawała lekarstwa, sama lodem okładała mu głowę, pełniła przy nim wszelkie posługi, nie pozwalając nikomu wyręczyć się w tym względzie. Sypiała ubrana, na fotelu, a mimo znużenia i wyczerpania sypiała tak czujnie, że na najmniejszy szelest, na najmniejszy ruch chorego zrywała się na równe nogi. W napadach halucynacji Antka,

które zwykle przypadły w nocy i we dworze wszyscy spali, gdy ten zrywał się i wpatrywał w ciemny kąt pokoju wzrokiem przerażonym, Anielka drząc i oglądając się trwożliwie, szła do łóżka i starała się słodkimi, cichymi słowami uspokoić chorego. Nachylając się nad nim, szeptała pieściwie:

— Antoś! tu nikogo nie ma, to ja jestem przy tobie, Anielka, twoja narzeczona. O! mój drogi, mój jedyny, uspokój się!

I czasem ten cichy, pieśczośliwy szept uspakajał chorego, choć Anielka po każdym takim paroksyzmie, przerażona widziadłami, zdenerwowana, sama o mało nie krzyczała z trwogi. Trzeba było całej siły woli w tej dziewczynie, by nie budzić innych, nie wołać pomocy.

A ci inni także posępne i niespokojne pędzili życie w starym domu w Górach. Matka Anielki, pani Magdalena Schmid, podobna w tym względzie do swej patronki, oddała się pokucie za grzechy młodości. Nie żałowała wcale zabranych jej przez bandytów pieniędzy i mówiła:

— Dobrze się stało. Pan Bóg tak chciał i niech

o śmierci, o znikomości życia i wszelkich zabiegów ludzkich. Na uwagi Orczykiewicza i stryjaszka Józefa, którzy nieustannie zasięgali wiadomości o tem, co się dzieje w X. i domagali się, by wobec zbliżających się wypadków i katastrofy coś przedsięwziąć, Stanisław odpowiadał:

— Na co się to wszystko zdało? Śmierć zawsze nas czeka. Czy wcześniej, czy później, to na jedno wychodzi.

I tknięty jakimś współczuciem dla stryjaszka Józefa, gadał:

— Czemu stryjaszek tu siedzisz? czemu nie jedziesz na Litwę?

— Taj, serce ty moje — odpowiadał pan Józef — jakże mnie to uciekać, kiedy tu grozi tobie, Antkowi i Anielce niebezpieczeństwo. Ja, serdeczko, jestem twardy Litwin i przyjaciół w nieszczęściu nie opuszczam.

I wyprostowawszy się dumnie, głosem śpiewnym, przeciągając akcent, zadeklamował:

Z okiem wlepionem w nieprzyjaciół szaniec
Nabija strzelbę i liczy różaniec.

— Ale cóż nam stryjaszek możesz dopomóc? Narażasz się tylko na niebezpieczeństwo niepotrzebnie.

— Taj niewiedomo, co będzie, a taki wstydby było mnie okrutecznego, gdybym was w niedoli opuścił i stąd uciekł. Litwa, braciasku, nigdy nie uciekała. Uciekinierstwo, to koronarska, nie litewska rzecz! Hi! hi! hi!

I został. Codzień puszczał się w kierunku miasteczka X. by, jak mawiał, zasięgnąć języka; porobił tam pewne znajomości i wdawał się z nimi w rozmowy, a gdy wymyślano na przewodników, którzy haniebnie uciekli, uśmiechał się i gadał:

— Ta cóż, serdeczko, tego należało się spodziewać. Ot, młody jesteś, braciasku i nie znasz ludzi. Gdybyś ich znał, a zwłaszcza żydków Litwaków, tobyś wiedział, co oni warci. Ten Srułowicz Mojsiejew, na którego tak narzekacie, też to Litwak. Znam ja ich, znam. Mało to ich w Iłumieniu!

I śmiał się, a wracając do domu, powtarzał sobie:

— Mgławica! mgławica! Bóg jeden znawszy, jakie ciało nowe z niej się utworzy.

On jeden zresztą jaki taki ład i porządek we dworze w Górach utrzymywał, bo Stanisław do niczego się nie mieszał. Codzień rano stryjaszek szedł do starej Rozalii do kuchni i z nią radził o śniadaniu i obiedzie, pytał, co robi kucharz i kuchciki, z uśmiechem wysłuchiwał narzekania i wymyślał Rozalii na wszystkich, którzy przyczyniali się do rozprężenia, panującego w okolicy.

— Chyba świat, wielmożny panie, się kończy! — gadała Rozalia.

A stryjaszek Józef uśmiechał się dobrotliwie i mówił:

— Nie, serce, świat się nie kończy i nie skończy nigdy, bo świat jest dziełem Boga, a dzieła Boskie są nie-

śmiertelne. Świat toczy się swoją koleją, a głupstwo ludzkie nawet trawce nie przeszkodzi rosnąć tak samo, jak przed tysiącami wieków rośla. Hi! hi! hi! głupstwo ludzkie, moja Rozalio, także jest nieśmiertelne.

Chodził też do Orczykiewicza, opatrywał z nim konie, krowy i owce, bo większość służby folwarcznej także się rozbiegła, a Wojtek Macherzyna i Józefka Podkówna, dotąd pełniące obowiązki dojki, przenieśli się do X., gdzie podobno wybitną odgrywali rolę. Słowem, stryjaszek Józef był duszą żywiącą w tem opuszczeniu, w jakim znajdował się stary dwór w Górach.

Ale w tych wycieczkach i zabiegach codziennych zdarzyło się, że stryjaszek przemókł raz do nitki na deszczu i nogi przemoczył, a choć gadał, że jest twardy Litwin i w powiecie iłumeńskim po bagnach się włóczył za „ciociorkami“, jednakże zakatarzył się mocno i pewnego dnia musiał siedzieć w domu, ile że pogoda była pochmurna i dżdżysta.

Ubrany w szlafrok, niegdyś turecki, teraz spłowiały i zniszczony, w fez turecki z pięknym chwastem z tyłu, w pantofle włóczkowej roboty, mocno spłowiałe, kto wie, może dar pięknej Cecylii, o którą przed laty kilkadziesiąt pogniewał się był z bra-



Teraz leżała Anielka w swej ciemnej sukni na ziemi, krwią zlaną.

będzie imię Jego pochwalone. Nie chcę pieniędzy, nie chcę. Za moje grzechy winnam chodzić w łachmanach żebraczych, we włosiennicy. Po całych dniach nie wychodziła ze swego pokoju, niczem się nie zajmowała, tylko klęcząc przed obrazem Matki Boskiej modliła się i zalewała łzami. Wskutek tego zapanował wielki nieład we dworze. Służba robiła co chciała, a właściwie nic nie robiła, tylko rozprawiała o tem, iż nadszedł czas, że nie będzie panów i służących, bogatych i biednych i że dwór i majątek w Górach pójdzie między nich do podziału. O śniadaniach, obiadach nikt nie myślał i gdyby nie stara Rozalia, która od dziecka służyła we dworze, nie ugotowała jakiej zupy i nie usmażyła kawałka mięsa, nie byłoby co jeść, bo kucharz i kuchciki siedzieli w X. i rozprawiali o urządzeniach nowej republiki.

Stanisław też wpadł w paroksyzm swego pesymizmu i zupełnego zniechęcenia i także niczem nie chciał się zajmować i o niczym myśleć. Gadał, że wyjedzie, że ucieknie z tego piekła, osiadzie w jakim zapadłym kącie i czekać tam będzie śmierci, która na koniec wcześniej czy później przyjść musi i lodowatą ręką na nim położy. Po całych dniach siedział w fotelu, zagłębiając się w ponure myśli